



**GEORGE  
ORWELL**

**Brak tchu**



**GEORGE  
ORWELL**

**Brak tchu**

Przekład  
Robert Sudół

vis-à-vis  
etiuda

Kraków 2023

Tytuł oryginału: *Coming Up for Air*

Copyright © for this edition by Vis-à-vis Etiuda  
Wszelkie prawa zastrzeżone

Przekład: Robert Sudół

Projekt okładki: Marcin Wojciechowski

Projekt graficzny serii: Marcin Wojciechowski

Konsultacja redakcyjna: Grzegorz Ciepły

Przygotowanie i opracowanie serii George Orwell – Dzieła zebrane:  
Grzegorz Ciepły

Korekta: Humbert Muh

Redakcja techniczna i łamanie: Anna Atanaziewicz

Wydawnictwo Vis-à-vis Etiuda spółka z o.o.  
30-549 Kraków, ul. Traugutta 16b/9  
tel. 12 423 52 74, kom. 600 442 702  
e-mail: visavis\_etiuda@interia.pl, biuro@etiuda.net  
www.etiuda.net

ISBN: 978-83-7998-831-0  
(wersja e-book)

*Nieboszczyk, a ciągle dowodzi.*  
(z popularnej ballady)



# CZĘŚĆ PIERWSZA





## ROZDZIAŁ 1

Właściwie przyszło mi to do głowy w dniu, w którym sprawilem sobie nowe sztuczne zęby.

Dobrze pamiętam tamten ranek. Mniej więcej za kwadrans ósma wstałem z łóżka i zdażyłem do łazienki przed dziećmi. Był paskudny styczniowy dzień, niebo miało kolor szarobury. Przez kwadratowe okno zobaczyłem w dole nasz tak zwany ogródek przydomowy: polać trawy pięć na dziesięć jardów z łysym plackiem pośrodku, otoczona żywopłotem z ligustru. Identyczny ogródek z takim samym ligustrem i trawą znajduje się za każdym domem przy naszej ulicy, a więc Ellesmere Road. Z jedną różnicą: jeśli nie ma dzieci, nie ma też wydeptanego placka.

Puściłem wodę do wanny i spróbowałem ogolić się tępawą żyłką. W lustrze zobaczyłem znajomą twarz, a niżej, na półce nad umywalką, należąca do niej protezę zębową zanurzoną w szklance wody. Była to tymczasowa proteza, którą wydał mi mój dentysta Warner, abym ją nosił, póki nie wykona stałej. W gruncie rzeczy nie mam aż tak brzydkiej twarzy. Jest mocno rumiana, do kompletu z piaskowymi włosami i jasnoniebieskimi oczyma. Dzięki Bogu nie lysieję ani nie siwieję, a gdy wprawię sobie zęby, zapewne nie będę nawet wyglądał na swój wiek, a więc czterdzieści pięć lat.

Zakonotowawszy sobie, żeby kupić nowe żyłki, wlażłem do wanny i zacząłem się myć. Najpierw namyd-

lilem ramiona (pulchne i piegowate aż po łokcie), potem łopatki, ale już szczotką, bo ręką nie dają rady. To pewien kłopot, że do kilku części własnego ciała już nie dosięgam. Prawdę mówiąc, obrosłem trochę sadłem. Nie znaczy to jednak, że mogliby mnie pokazywać jako dziwoląga na jarmarkach. Ważę niecałe dwieście funtów, a gdy ostatnio zmierzyłem się w pasie, wyszło mi czterdzieści osiem czy dziewięć cali, nie za dobrze pamiętam. Nie jestem, jak to mówią, „odrażającym grubasem”, nie mam brzuszyska zwisającego do kolan. Po prostu rozrosłem się trochę na boki, figurą coraz bardziej przypominam baryłkę. Wszyscy znamy tych zażywnych, krzepkich spaślaków, wysportowanych i energicznych, zwanych Klucha albo Buła, którzy są duszą towarzystwa. Jestem jednym z nich. Buła Bowling. Bo nazywam się George Bowling.

W tamtej chwili wcale nie czułem się duszą towarzystwa. Zastanawiające, że ostatnio wczesnym rankiem popadam w podły nastrój, choć śpiam dobrze i nie mam problemów z trawieniem. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, o co chodzi: o tę moją protezę zębową. Woda powiększała zanurzone w szklance cholerstwo, które szczyrzyło się do mnie niczym zęby w trupiej czaszce. Zetknięcie nagich dziąseł daje wredne uczucie, to przenikliwa cierpkość, jakbyśmy ugryźli kwaśne jabłko. Poza tym można mówić, co się chce, ale proteza zębowa to punkt zwrotny w życiu człowieka. Pożegnanie z ostatnim prawdziwym zębem stanowi ostateczny kres czasów, kiedy mężczyzna mógł wmawiać sobie, że jest szejkiem z hollywoodzkiego filmu. A ja – nie dość że miałem już

czterdzieści pięć lat, to jeszcze byłem gruby. Stanąwszy w wannie, żeby namydlić krocze, przyjrzałem się swojej postaci w lustrze. To kompletna bujda, że otyli nie mogą dostrzec swoich stóp pod brzuchem, ale faktem jest, że gdy stanę wyprostowany, widzę tylko palce i jeszcze kawałek. Żadna kobieta, pomyślałem, namydlając brzuch, nie spojrzy na mnie z uwagą, chyba że zachęcona pieniędzmi. Nie żebym w tamtej chwili pragnął zainteresowania płci przeciwnej.

Uświadomiłem sobie jednak, że tego dnia są powody do lepszego samopoczucia. Po pierwsze, miałem wolne. Stare auto, którym „obsługuję” swój rewir (śpieszę dodać, że pracuję w branży ubezpieczeniowej – agencja Flying Salamandra: polisa na życie, asekuracja od pożaru, włamań, narodzin bliźniąt, zatonięcia statku, słowem, od wszystkiego), stało chwilowo w warsztacie i choć należało podrzucić papiery do naszego londyńskiego biura, postanowiłem wziąć sobie dzień wolny, żeby załatwić protezę. Oprócz tego była jeszcze sprawa, która ostatnio nie dawała mi spokoju. Otóż przygarnąłem siedemnaście funtów, o czym nikt nie wiedział – to znaczy nikt z rodziny. A było to tak: Pewien facet z naszej firmy, niejaki Mellors, wytrzasnął skądś książkę pod tytułem *Astrologia a nysćigi konne*, w której napisano, że to planety wpływają na kolor stroju dżokejów. No więc w tej czy innej gonitwie biegła klacz o imieniu Oblubienica Korsarza, kompletny trup, sęk w tym, że dosiadający jej dżokej ubrany był na zielono, a zieleń okazała się kolorem planet będących akurat w ascendencie. Mellors, który ma niezłego fioła na punkcie astrologii, postawił na klacz kilkanaście funtów

i błagał mnie na kolanach, żebym zrobił to samo. Wreszcie, głównie po to, aby się odczepił, zaryzykowałem dziesięć szylingów, choć z zasady nie obstawiam. No i proszę, Oblubienica Korsarza okazała się fuksem. Już nie pamiętam, jaki był kurs, w każdym razie wygrałem siedemnaście funtów. Powodowany intuicją – co było dość dziwaczne i stanowiło chyba kolejny punkt zwrotny w moim życiu – wpłaciłem pieniądze do banku i nie pisałem nikomu ani słowa. Coś takiego zrobiłem pierwszy raz. Za wygraną dobry mąż i ojciec kupiłby Hildzie (moja żona) nową sukienkę, a dzieciom buty. Problem w tym, że dobrym mężem i ojcem byłem już piętnaście lat i miałem tego powoli dość.

Gdy już namydliłem całe ciało, poczułem się raźniej i wyciągnąłem w wannie, żeby zastanowić się spokojnie, na co wydać swoje siedemnaście funtów. Objawiły się dwie możliwości: albo spędzić weekend w towarzystwie kobiety, albo zafundować sobie różne przyjemności, takie jak cygara i podwójna whisky. Dołałem gorącej wody, rozmyślając o kobietach i cygarach, gdy nagle usłyszałem taki rumor, jakby po dwóch stopniach prowadzących do łazienki przebiegło stado bawołów. Dzieciaki, wiadomo. Dwoje w takim domku jak nasz to jak dwie kwarty piwa w napařtku. Po drugiej stronie drzwi rozległ się tupot, a zaraz potem piekielny wrzask:

- Tatusiu! Ja muszę!
- Nie możesz w tej chwili! Zmykaj!
- Ale bardzo mi się chce!
- To niech ci się odechce. Wytrzymaj. Kąpię się!
- Tatusiu, popuszczę!

Przegrana sprawa, bo usłyszałem ostrzegawcze tony. Ubikacja znajduje się w łazience, bo niby jak miałoby być w takim domu? Wyjąłem korek z odpływu i pośpiesznie wytarłem się ręcznikiem. Kiedy otworzyłem drzwi, mały Billy – mój młodszy, siedmiolatek – śmignął obok, robiąc unik przed prztyczkiem w ucho. Dopiero gdy byłem już prawie całkiem ubrany i szukałem krawata, poczułem, że wciąż mam namydloną szyję.

Parszywie jest mieć namydloną szyję. Człowiek czuje się wtedy obrzydliwie, jakby się lepił, a najdziwniejsze wydaje się to, że choćby najdokładniej wytarł się gąbką, już do końca dnia będzie mu towarzyszyć uczucie lepkości. Zszedłem na dół w parszywym humorze gotowy odegrać się na świetle.

Nasza jadalnia, jak wszystkie inne w domach przy Ellesmere Road, to małe, ciasne pomieszczenie, dwanaście na czternaście stóp, a może dziesięć na dwanaście, najwięcej miejsca zajmuje zaś kredens z japońskiej dębiny, w którym stoją dwie puste karafki i srebrny kieliszek do jajek, ofiarowane nam w prezencie ślubnym przez matkę Hildy. Moja małżonka siedziała zaszepiona za imbrykiem, jak zwykle w stanie trwogi i rozpacz, bo w „News Chronicle” podali, że drożeje masło albo coś. Nie włączyła piecyka na gaz i choć okna były szczelnie zamknięte, w jadalni panował nieludzki ziąb. Pochyliłem się i przysunąłem zapalną do piecyka, oddychając głośno przez nos (zawsze dyszę i sapię przy pochylaniu się), co miało stanowić przytyk pod adresem Hildy. Rzuciła mi spojrzenie z ukosa, jak to robiła zawsze, gdy w jej przekonaniu zachowywałem się dziwnie.

Hilda ma trzydzieści dziewięć lat, a gdy ją poznałem, wyglądem przypominała zająca. Nadal zresztą przypomina, tyle że mocno schudła i się zasuszyła, lecz ma to samo znekane, zamysłone spojrzenie, a gdy jest szczególnie przybita, garbi się i krzyżuje ręce na piersiach jak stara Cyganka przy ognisku. Należy do tych, którzy czerpią radość z wieszczenia katastrof. Drobnych katastrof, rzecz jasna. Wojny, trzęsienia ziemi, epidemie, klęski głodu i rewolucje nie budzą jej najmniejszego zainteresowania. Cena masła poszła w górę, przysłali niebotyczny rachunek za gaz, dzieci mają dziurawe buty, zbliża się termin kolejnej raty za radioodbiornik – oto litania żalów mojej Hildy. Podejrzewam, że jest w siódmym niebie, kiedy rozkołysana patrzy na mnie posepnym wzrokiem, z rękami założonymi na piersi. „George, to śmiertelnie poważna sprawa. Pojęcia nie mam, co my teraz zrobimy, skąd weźmiemy pieniądze. Ty chyba nie rozumiesz powagi sytuacji”, i tak dalej w ten deseń. Wbiła sobie do głowy, że wszyscy skończymy w przytułku dla ubogich. Najzabawniejsze, że jeśli naprawdę tam trafimy, w odróżnieniu ode mnie Hildzie przypadnie to do gustu, bo wreszcie będzie miała poczucie bezpieczeństwa.

Dzieci były już na dole, błyskawicznie umyły się i ubrały, jak zawsze, gdy widzą, że jest parcie na łazienkę. Kiedy usiadłem do stołu, akurat o coś się spierały, toczyła się wymiana zdań w rodzaju: „a właśnie że tak!”, „a właśnie że nie!”, „a właśnie że tak!”, „a właśnie że nie!” i wyglądało, że będą się tak przekomarzać do południa, więc kazałem im być cicho. Mamy tylko dwójkę, siedmioletniego Billy’ego i jedenastoletnią Lornę. Budzą we mnie

osobliwe uczucie. Bo prawdę mówiąc, najczęściej nie mogę na nich patrzeć. Od słuchania ich rozmów aż uszy bolą. Oboje wkroczyli w ten typowy wiek, kiedy myśli się tylko o ekierkach, piórnikach i o tym, kto dostał najlepszą ocenę z francuskiego. Niekiedy jednak, zwłaszcza gdy śpią, ogarnia mnie inne uczucie. W letni jasny wieczór stawałem czasem nad ich łóżeczkami i patrzyłem na śpiące okrągłe buzie i włosy koloru lnu, kilka tonów jaśniejsze od moich, i wtedy, jak napisano w Biblii, „zdejmowała mnie litość”<sup>\*</sup>. Wydawało mi się, że jestem wyschniętą lupiną niewartą złamanego grosza, a jedyną moją racją bytu jest powołanie tych pięknych istotek do życia i wykarmienie ich, gdy rosną. To jednak rzadkie chwile. Najczęściej zajęty jestem własnym istnieniem i czuję, że w starym piecu diabeł ciągle pali, że życie ma mi jeszcze sporo do zaoferowania, a rola potulnego frajera wykorzystywanego przez kobiety i czeredkę dzieci bynajmniej mi nie odpowiada.

Przy śniadaniu nie rozmawialiśmy zbyt wiele, bo Hilda znów była w podłym nastroju – „Naprawdę nie wiem, co teraz zrobimy” – spowodowanym po części przez cenę masła, po części przez koniec przerwy bożonarodzeniowej, bo zalegaliśmy pięć funtów z czesnym za ostatnie półrocze szkolne. Zjadłem jajko na miękko i posmarowałem kromkę chleba marmoladą Golden Crown, z uporem kupowaną przez Hildę. Funt kosztuje pięć i pół pensa, a na etykiecie najmniejszym drukiem dopuszczanym przez prawo pisał, że produkt zawiera

---

<sup>\*</sup> Wszystkie cytaty z Pisma Świętego za Biblią Tysiąclecia (przyp. tłum.).

„pewną ilość neutralnego soku owocowego”. Za pierwszym razem nakręciłem się dość irytująco, jak to czasem robię, i zacząłem gadać o „neutralnych drzewach owocowych”, jak wyglądają, w których krajach rosną, aż w końcu Hilda się wkurzyła. Rzecz nie w tym, że drażnią ją moje docinki, po prostu dziwnym zrządzeniem losu uważa, że nie należy żartować z tego, na czym można zaoszczędzić trochę grosza.

Zajrzałem do gazety, ale nie było nic nowego. Mordowali się jak zwykle w Hiszpanii i Chinach, w dworcowej poczekalni znaleziono nogi kobiety, ponadto ważył się ożenek króla Zogu. Wreszcie około dziesiątej, wcześniej, niż zamierzałem, wyszedłem na miasto. Dzieci pomknęły bawić się do parku. Był parszywie chłodny ranek. Gdy przestąpiłem próg, nieprzyjemny podmuch wiatru owiał mi szyję, a ja poczułem się, jakbym włożył cudze ubranie i lepil się na całym ciele.